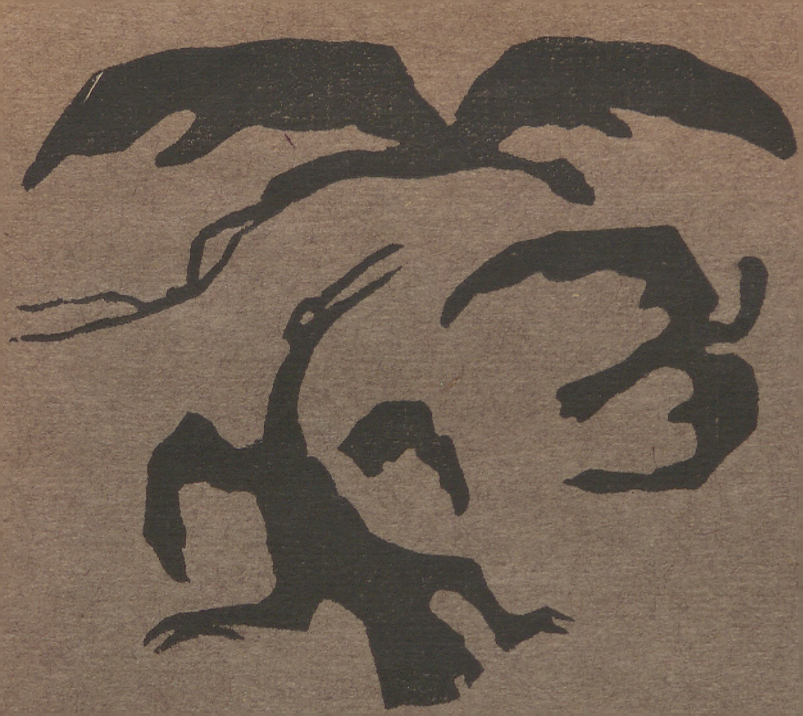
JOACHIM ACHIM



NAPISAŁ: JERZY
HULEWICZ. 1923.

JOACHIM ACHIM

JOACHIM ACHIM
DRAMAT W TRZECH ZJAWACH
NAPISAŁ JERZY HULEWICZ



Nr.

KOŚCIANKI. — ROK TYSIĄC DZIEWIĘĆSET DWUDZIESTY DRUGI.

W DRAMACIE ZJAWIAJĄ SIĘ:

JOACHIM ACHIM (ALCHEMIK)
LUCYLJA (JEGO ŻONA)
RAJMUND (MŁODY DOMINIKANIN)

MAREK FILIP KLEMENS ZENOBJUSZ URBAN	UCZNIOWIE JOACHIMA

MAGISTER GENERALIS — HIPOLIT
MARIA BECARIA
PRAŁAT
KSIĄDZ ASYSTENT
KSIĄDZ SEKRETARZ
DOZORCA WIĘZIENNY
KAT
SIEPACZE
KSIĘŻA, ASYSTA, GAWIEDŹ.

RZECZ DZIEJE SIĘ W KOŃCU WIEKU SZESNASTEGO.

ZJAWA PIERWSZA:

Obszerna pracownia alchemiczna; w rogu wielka alchemiczna kuchnia z obszernym otworem komina, w którym pali się ogień. Naprzeciw widowni drzwi wchodowe, w ścianie bocznej drzwi wiodące do przyległej izby.

Na ścianach półki z chemikaljami, szklanicami licznymi przyrządami, szafy z książkami i papierami; na ścianach porozwieszane tablice z logarytmami i znakami chemicznymi.

Uczniowie: Marek, Filip, Klemens i Urban pracują pilnie, szperając w papierach a czyniąc notatki. Urban przy kominie chemikalja miesza w naczyniu a na ogniu przygrzewa.

MAREK

Już ja się nie dziwuję niczemu.

FILIP

Wszystkie odgadłeś możliwości?

MAREK

Żadnej.

KLEMENS

Tem bardziej dziwować się przystoi.

MAREK

Dziwowanie przyciemnia zawsze dalsze możliwości, więc się nic nie dziwuję.

KLEMENS

To nowa teorja możliwości.

FILIP

A więc znów nowy dziw...

(śmieją się wszyscy — prócz Urbana, który szczerze zajęty pracą milczy).

MAREK

A jednak jest coś, co mnie zadziwia.

KLEMENS

Jednak?

FILIP

Hm — może stworzysz coś nowego?!

MAREK

To nie tak łatwo...
Wiecie kto mnie zadziwia?
— Lucylja.

FILIP

Marku drogi! ty zawsze wystrzelasz z nowością, która nowością nie jest; kogoż nie zadziwia boska Lucylja!?

KLEMENS

To słuszne! — przyznajcie, koledzy: który z nas pracowałby tu, u tego starego dziwaka, gdyby Lucylja nie była żoną jego?

(Urban z nieukontentowaniem pogwizduje).

FILIP (do Klemensa)

Szczerości odmówić ci nie można.

MAREK

Bo i słuszność ma. Lucylja jest boska!

KLEMENS

Zawsze ta sama; jako ten kwiat, który nigdy nie przekwita.

Najstarszy ja wśród was i najdłużej tu przy mistrzu Joachimie pracuję; już pono szósty rok — a ona zawsze jednaka.

Jeno że mało ma się ku mnie; choć z racji długich lat tu przebytych pierwszy miałbym prawo do jej względów.

URBAN

Koledzy — milczcie...

FILIP

Ot cicha woda...! Za Lucylją się ujmuje! albo to wzbronione nam mówienie o białogłowie krasnej i złożenie hołdu pięknej mistrza połowicy?

URBAN

Uszanujcie mistrza...

KLEMENS

Albo my to Lucylji cnotę na szwank wystawiamy? Albo to nie można wspomnieć jej liczka albo cieszyć się słyszanym jej szczebiotem i w szare dni pracy serca uradować?

Alboś ty gatunku męskiego wyzuty? — ty skryty Lucylji wielbicielu!

(śmiech)

MAREK

Moralista! ha, ha!

(Urban milcząc pogwizduje)

KLEMENS

A juści — skoro Lucylja liczko swe pokaże, że nasza buda aż się rozjaśnia, tedy cichego Urbana grzbiet mrówkami się porusza, twarz jego kraśnieje, uszy nastawiają się jak u kundla, co to smakołyk zwietrzył na półmisku... a nogi przedeptują raźnie niby kogucie, że to kokoszę czują wedle kurnika... ha! ha!

(śmiech ogólny)

URBAN

Dość tego! — koledzy, albo szanujmy dom mistrza Joachima, albo poniechajmy tu nauki; dziewek poza murami domu tego szukajcie.

KLEMENS

A ja wam rzeknę inaczej: Czy nie postrzegacie ochoty wielkiej w Lucylji? ona młoda, piękna jak

obrazek, żona starego kutwy... niechby i sto rozumów pozjadał! — co jej z tego, kiedy w niej krew wre i kipi; ona młodości chce i życia!

URBAN

W młodości Lucylji, w tej wiecznej młodości — żali nic spostrzegacie pełnej jakowejś tragedji?

(Ogólny śmiech; Urban milknie i pracuje dalej).

MAREK

Już też nieraz sobie to myślałem, że ona chyba niemowlęciem wyszła za mistrza Joachima; bo pono oni już bardzo dawno po ślubie...

FILIP

Czy to taka tragedja?

KLEMENS

Wszystko jedno! Piękna jest i młoda; lat jej liczył nie będę gdy czarują mnie jej oczy, gdy bucha od niej życie, krew, ogień...

MAREK

Brawo, Klemensie!

FILIP (do Urbana)

Lata niechaj inni liczą — lata tragedji.

(śmiech)

KLEMENS

A zresztą powiedzcie, koledzy: zali byłoby słuszne, by nam, którzy w domu jej co dzień jeste-

śmy, którzy co dzień ją oglądamy — by nam usuwał ją ktoś inny?

FILIP I MAREK (razem)

Kto? kto?

KLEMENS

O! naiwni! (głosem przyciszonym). Czy nie widzicie, jako ten świątobliwy chłystek ku niej się ma?

FILIP

Rajmund?

MAREK

Braciszek Rajmund?

KLEMENS

Aha!

FILIP

Tak sądzisz? — a ona?

KLEMENS

Jak to Lucylja — krzywdy mu nie zrobi, ani przed mężem oskarży... Albo ja wiem...

A który z nas może powiedzieć, iż ona ma się ku niemu, albo że mu krzywa?

Każden, lub żaden...

FILIP

A bo jest to białogłowa osobliwa. Mogłaby mieć każdego, któregoby chciała. Pragnie — a nie bierze.

KLEMENS

Chce być wzięta.

FILIP

Też nie — bo przypodobaćby się usiłowała jednemu.

MAREK

A może to czyni?

KLEMENS

Gdzież tam! Ona wszystkim rozkwita porówni, jak ten kwiat przydrożny a nikomu z przechodniów się nie nachyli — ona tylko rozkwita... wszystkim rozkwita.

FILIP

Czy wszystkim porówni?

KLEMEMS

Porówni.

FILIP

A koledze Urbanowi? może jednak czasem się nachyli?

KLEMENS

Ha! tego już nie wiem.

FILIP

Nie długo nam czekać, a kolega Urban rękawicę ciśnie onemu klesze młodocianemu. Za łby się wezmą o białogłowę...

KLEMENS

Czemżeby się potykali? jeden kropidłem a drugi tyglem...

(śmiech ogólny).

FILIP

Żarty na bok! powiedzcie, czy naprawdę posądzacie Lucylję o afekty do Rajmunda?

KLEMENS

Afektami sypie białogłowa każda na wsze strony i jeno o to idzie gdzie i którego porazi.

(śmiech)

FILIP

Poraziła — sądzisz — mnicha?

KLEMENS

Poraziła.
Ale to jedno mamy w naszej mocy, co umiemy a co działa na Lucylję — sztuki nasze. Wczoraj znów się dopytywała, czy czary odprawować będziem.

(Urban kończy pracę, składa przyrządy i papiery i do odejścia się zbiera).

FILIP (do Urbana)

Odchodzisz już?

URBAN

Odchodzę, dziś trudno mi się skupić w pracy.

KLEMENS

Urban odchodzi...

(podbiega do Urbana, który zrzuca z siebie fartuch a zarzuca wierzchnią szatę).

Kolego! — czy powtórzycie może nasze kpiny Lucylji? albo mistrzowi Joachimowi? albo...

URBAN

Co mi do tego — bylebyście dali mi pracować...

FILIP

Dlatego odchodzisz?

URBAN

Także dlatego.

FILIP

Zostań!

(Urban wychodzi).

Sensat! — posądzam go o nadmierne ku Lucylji skłonności.

KLEMENS

Niech tam! — nie poradzi.

MAREK

A wiecie co mi mówiono o Lucylji? — mówiono mi, że ona jest trochę pomieszana na umyśle.

(Klemens i Filip wybuchają śmiechem).

KLEMENS

A to nam nowina!

MAREK

Więc i wy także?...

(śmieją się)

i wy tak sądzicie?

KLEMENS

Kiedy pali się płomień, to jego języki tańczą najniespokojniej.

Lucylji urok cały w tem, że płonie... a górne płomienia języki tańczą najniespokojniej — — —

O! jakże lubię te fajerwerki! Ha, ha, ha!

FILIP (nagle)

Pst! — mistrz Joachim!

KLEMENS

To i cóż? pracę moją kończę, wy także; jeden Urban nie czekał godziny...

(drzwiami z przyległej izby wchodzi Joachim Achim).

JOACHIM

Bywajcie, chłopcy; przychodzę wam oznajmić...

(rozgląda się)

— a gdzież Urban?

KLEMENS

Odszedł już, mistrzu.

JOACHIM

A Zenobjusz?

KLEMENS

Nie przyszedł dzisiaj.

JOACHIM

Hm — Zenobjusz... ale Urban? Urban? — no trudno...

Przychodzę wam oznajmić, chłopcy, że należy wam kończyć rozpoczęte prace.

Już więcej tak pracować nie będziemy.

(ogólne zdziwienie)

Tak jest; ogień alchemji
— zgasimy.

KLEMENS

Jak to, mistrzu?!

JOACHIM

Jeśli któremu z was koniecznie potrzeba rozpoczętą zakończyć pracę, niech kończy. Pracę trzeba uszanować. A potem — l a b o r a r i u m a l c h e m i a e — zamykam.

KLEMENS

Mistrzu! czy dobrze słyszymy?

FILIP

Jakoż to? — więc...

JOACHIM

Gdybym miał tu was wszystkich, pożegnałbym się i dzisiaj z wami...

A może tak być ma, że Urbanowi osobno mam to oznajmić... A Zenobjusz? — no! nic nie szkodzi.

(Wśród ogólnej ciszy Joachim kolejno pogląda uczniom w oczy).

JOACHIM

No? — który z was dokonał auri compositionem?

Macie złoto? macie?

— Żaden! I ja go nie znalazłem — i wy go nie znaleźliście.

KLEMENS

Ależ mistrzu! toż jeszcze...

JOACHIM

I to wam mówię, że nie znajdziecie go nigdy na tej drodze.

KLEMENS i FILIP

Mistrzu!

JOACHIM (twardo)

Nigdy! — rozumiecie? — nigdy!

(oddala się; a w samych drzwiach odwraca się raz jeszcze do nich)

Nigdy!

(wychodzi; pozostali w niemem osłupieniu patrzą na się).

KLEMENS

Sądziłem, że on ma kark twardszy.

FILIP

Czy co wiesz?

MAREK

Cóż? — tak nagle!?...

KLEMENS

Wiem; domyślam się... Ale sądziłem, że tak łatwo kolan nie ugnie.

FILIP

O czem mówicie?

KLEMENS

Otóż dochodziły mnie słuchy, że w najwyższych kołach świętej inkwizycji zwrócono baczną uwagę na działalność naukową Joachima Achima,

Rozumiecie teraz?

MAREK

Nic nie rozumiem.

FILIP

Więc sądzisz...

KLEMENS

Snać go ostrzeżono.

MAREK

Więc co, więc co?

FILIP

To być może...

KLEMENS

Podobno donos wpłynął do świętej inkwizycji przeciw Joachimowi Achimowi. Snać zatrwożył się.

FILIP

Czyżby? Toż mistrz Joachim w prawdach swych taki nieugięty.

KLEMENS

Wobec nas... A czy takiż jest wobec grozy świętej inkwizycji? Któż jej czoła stawić się odważy?

FILIP

Byli i tacy.

KLEMENS (po chwili).

A jednak... Słyszeliście przecież...

FILIP

I cóż uczynimy?

KLEMENS

Ha! pożegnamy się z — Lucylją... Z boską Lucylją pożegnamy się!

MAREK

Ja tego pojąć nie mogę!

KLEMENS

(poirytowany).

Szukaj więc złota, a pojmiesz!

FILIP

Co teraz czynić mamy?...

Przeć tak bez wszystkiego... bez pożegnania... bez jakowejś choć formy... Czemu on nas tak krótko odprawił? W tem tkwi coś większego...

KLEMENS

Wiecie co? Być może, że Joachim chce, iżbyśmy coprędzej się oddalili; on nam wszystkiego tłomaczyć nie może; toby go tylko mogło obciążyć; może tu jakie poszukiwania będą? albo ja wiem?...

FILIP

Tak sądzisz?

MAREK

Na Boga! co? co?

FILIP (do Klemensa)

Słuszność masz!

KLEMENS

Uchodźmy!

(Spiesznie zbierają swe papiery i przyrządy.

FILIP

Słuchajcie! Tak nie można. Jeśli słuszne jest przypuszczenie wasze, tedy nie możemy tu pozo-

stawić ni śladu po sobie. Gdyby święta inkwizycja poszukiwania tu wszczęła i znalazła ślad po nas — bylibyśmy zgubieni! — Zabierzmy wszystko!

(pospiesznie zbierają swe rzeczy).

KLEMENS

Ot w stole wyryte jest moje imię; dajcie noża!
(Marek podaje nóż; Klemens wydrapuje i wycina imię swe z płyty stołu; poczem wszyscy badając tu i ówdzie, czy niema gdzie po nich śladu, zbierają manatki, przerzucają odzienia wierzchnie, gotując się do odejścia. W tem słychać w przyległej komnacie, za drzwiami rozmowę zbliżających się Urbana i Joachima.

JOACHIM
(za drzwiami)

Tak jest; pomówić chcę z tobą w cztery oczy.
(Joachim staje w drzwiach).
Nie wszystko mogłem im rzec, co tobie wyjawię, drogi chłopcze.

(Filip, Klemens i Marek wybiegają drugiemi drzwiami. Urban zjawia się i pogląda za uchodzącymi kolegami).

URBAN

Mistrzu, zbliżający się przewrót czuję. Zda mi się, że doszedłem do pewnego wnętrznego — załamania.

JOACHIM

Dobrze odczuwasz chwilę.

URBAN

Odczuwam; ale nie mogę sobie jasno uprzytomnić wobec czego stanąłem. Odczuwam przytem lęk, którego nigdy jeszcze nie zaznałem...

Wiem, że coś stać się musi, czuję, że to co będzie, będzie odwrotnością tego co było.

JOACHIM

Czy odwrotnością, tego jeszcze nie wiem — ale być może...

URBAN

Wszelako nie mogę zrozumieć, czemu to mamy koniecznie poniechać tej pracy naszej, która dotąd całych nas pochłaniała?

JOACHIM

Bo to nie ta droga...

(chwila milczenia)

URBAN

A ja tak pracę tę ukochałem!...

JOACHIM

I nie doszedłeś do pewnych wątpliwości?

URBAN

Tak jest; są zagadnienia, które wątpliwości budzą... A jednak zawsze kochałem alchemję.

JOACHIM

I ja także... i ja błądziłem... Praca nie może być umiłowaniem — ani celem.

URBAN

Czemże tedy jest, mistrzu?

JOACHIM

Środkiem — tylko środkiem... Zmyleniem życia jest poczytywanie środka za cel.

I ja zmyleniu temu nie uszedłem, aż przejrzałem.

URBAN

Cóż tedy celem jest?

JOACHIM

Prawda ostateczna.

(milczenie)

URBAN

Więc cóż teraz? wszystko, wszystko od siebie precz odrzucić?!

Od nowa rozpocząć?!

I jak i o co się oprzeć? jakiej jąć się pracy, jakiej wiedzy?!

JOACHIM

„Wszystkiego doświadczajcie, co dobre jest dzierżcie“ — rozumiesz?.

Nie takim jak my działo się podobnie. Nic nie

jest stracone; wszystko ku poznaniu prawdy obrócić możemy, niczego nam nie żałować.

Wielki mistrz Wschodu nim doszedł do prawdy rozpoznania, siedm całych lat przesiedział w jednem miejscu bez ruchu, milczący, pogrążon w świętej walce z supremacją ciała. A kiedy ta nadludzka wytrwałość w służbie Ducha Prawdy w podziw wprowadziła dawnych uczniów jego, że uwierzyli weń, a pokłony mu oddawali, wtedy on nagle powstał z miejsca i oznajmił uczniom, iże nie ta jest droga zbawienia, iże od dnia onego nową chce rozpocząć. I rozpoczął wykładać swą Naukę wielki mistrz Wschodu.

Tak, chłopcze drogi, trzeba umieć przekreślić wszystko, co nie jest zgodne z Duchem Prawdy. Słyszysz? — wszystko: i przyzwyczajenia i tradycje i obrządki i — naukę.

Otóż to właśnie uczyniłem i nie chcę abyście wy, uczniowie moi, szli po mylnej drodze, którą wam wskazałem.

URBAN

(do nóg przypada Joachima)

Mistrzu!

JOACHIM

Rozumiesz ty to? rozumiesz?

URBAN

Mistrzu! dziś po raz pierwszy z głębi duszy mistrzem cię nazywam!...

(Joachim całuje go w czoło i podnosi)

JOACHIM

Dziś też po raz pierwszy chcę odsłonić poszar-

paną moją duszę... tobie jednemu, tobie jednemu! Ty mnie zrozumiesz...

I oto na czele stawię ci pytanie, które i ja i ty i wszyscy wy uczniowie moi powinniśmy byli sobie stawić na początku.

Powiedz mi: co to jest ta nasza sztuka, którą zwiemy alchemją?

URBAN

Sądziłem zawsze, że dopiąwszy celu naszej sztuki mocą kompozycji rozrzuconych i nieskoordynowanych pierwiastków, dopełnimy pracę przyrody, niedostateczną pracę przyrody i w ten sposób wydrzemy jej tajemnicę i ludziom ostateczną odsłonimy prawdę.

JOACHIM

Tak was nauczałem. Ale czy prawdą jest, że do celu prowadzi nas kompozycja wielości, czy też przeciwnie: jedności poznanie w wielości?

URBAN

Tego już nie wiem.

JOACHIM

Otóż to...

Pozatem zważ: ideałem alchemika było zawsze stworzenie własną wolą i umiejętnością najszlachetniejszego z kruszców, t. j. złota. Zastanów się, chłopcze, wyobraź sobie, iżeś dopiął celu: stworzyłeś złoto, stworzyłeś kompozycję pierwiastków, która dała ci prawdziwy ten kruszec, a nie kruszec jemu

podobny; to i cóż? zali choć o krok ku prawdzie ostatecznej postąpiłeś?

URBAN

Jednak wydarłem przyrodzie jednę z tajemnic.

JOACHIM

Ale czy ku Prawdzie postąpiłeś? czy tem odsłosłoniłeś choć rąbek tajemnicy Ducha?

URBAN

Ducha — o tyle nie, że miałem na uwadze tylko właściwości materji.

JOACHIM

A więc: nie. Tego nie dokonałeś, a co tem uczyniłeś? — oto podałeś ludziom zło największe w wielkiem rozmnożeniu, w możności rozmnożenia — złoto!

A czy ty uprzytomniłeś sobie, czem jest dla ludzi złoto! — Jest to widoma negacja — Ducha.

URBAN

Gdy źle użyte...

JOACHIM

Nie! nie! nie mów tak! to są ludzkie wykręty. Sama istota złota jest czysta, jak wszystka natura; ale połączenie złota z namiętnością — to...

URBAN

A jednak Grecy zwą złoto zgęszczonem światłem?

JOACHIM

W tem właśnie widzę tę odwrotność pojęć.

Zgoda! niechby złoto było zgęszczonem światłem; czemu tedy nie dążymy do rozrzedzenia złota, aby światła pomnożyć?

Taka apoteoza złota wprowadzała właśnie w błąd nas wszystkich: zbliżaliśmy się do złota, oddalając się równocześnie od — światła. Rozumiesz?

Odtąd chcę działać przeciwnie, w odwrotnym kierunku: do światła! rozumiesz? do światła! — — — Otóż więc widzisz: my nie znaliśmy wcale istoty naszej wiedzy, naszej sztuce przypisując nadmierne właściwości; znaliśmy jeno przejawy spostrzegane; takoż i medycy nie znają istoty swej wiedzy i dlatego sztuki uzdrawiania nie posiedli. Zapytaj jeno medyka co jest celem jego sztuki, a odpowie: podtrzymanie żywotności człowieka; ale żaden ci nie wytłomaczy, na czem ta żywotność polega. To samo dzieje się z nami.

Wszyscy my błądzimy dlatego, że niedocieramy ani dotrzeć probujemy do istoty rzeczy.

I to ci powiadam: wszystka wiedza rozumu ziemskiego — niczem jest, choćby i szczytów ludzkości sięgała. Są sfery, których rozum ziemski dotknąć już nie zdoła...

Nie jednem skrzydłem ptak lata, ale dwojem.

Skrzydła Ducha poniechaliśmy wszyscy, przeto lot nasz jest — krzywy. Dwojem skrzydeł skupimy w sobie rzeczy istotę, bo z niej oboje czerpią moc do lotu.

— Rozumiesz teraz, dlaczego od nowa zaczynam?

URBAN

Mistrzu! nowy mi świat otwierasz... co zarodkiem snuło się w mej duszy, ty do życia powołujesz...

JOACHIM

Nie — nie... ja w sobie nowego życia jeszcze nie stworzyłem; ja je stwarzam dopiero...

Patrzaj — śrony już włos mój, a ja niby dziecię — od nowa zaczynam.

O! to jest trudno — zacząć od nowa... Trzeba duchem żyć — to i młodość jest i siła i życie. Duch nie starzeje się.

To tylko wisiory życia, to zewnętrzności, które wtłaczają nas w ziemię.

Ciosy życia! Och! umieć być na tyle duchem, iżby ciosy wszystkie trafiały mimo!...

A czasem cios trafia tak, że człowieka w rozwoju zatrzymuje; człowiek jakoby stanął, tenci też ciałem ani się rozwija, ani starzeje... Ale czy w nim pracuje duch?... Czy... Tak, tak! To cała tragedja mej żony...

(dłuższe milczenie)

Zdaje mi się, że ja wytrzymałem; ona — nie.

Niedobrze gdy się rozszczepiają materja i w niej ucieleśniony duch; to naruszenie koniecznej harmonji...

URBAN

Nie pojmuję tego.

JOACHIM

Tak! ty nie znasz wewnętrznych przeżyć naszych, to też nie pojmujesz tego... Człowiek winien pa-

trzeć nawet na własne przeżycia z wierzchu — rozumiesz? — z wierzchu. Nawet te, które go obalają, które nim szarpią, nawet te pod sobą mieć powinien i będąc poza niemi, patrzeć na swoją jaźń borykającą się z przeżyciem i sądzić ją, odważać, oceniać. Człowiek-duch nie powinien pozwolić wciągnąć się w swoje przeżycia.

Zdaje mi się, że ja to potrafiłem; a choć przychodzą na mnie chwile wielkiego bólu, to jednak nie ból mnie prowadzi w dalszym mym pochodzie...

Zdaje się, że to potrafiłem, a Lucylja — nie. Naruszenie więc w niej harmonji — to jej tragedja... Co innym skarbem jest, młodość, dla niej jest nieszczęściem.

URBAN

Żona wasza, mistrzu...

JOACHIM

(przerywając)

Patrzaj — oto starcem niemal jestem. Pobraliśmy się młodzi oboje; zaledwie kilka lat różnicy między nami.

Ja starzec, Lucylja dzieweczką niemal zda się, córką moją, bodaj czy nie wnuczką.

Dwadzieścia trzy lat my po ślubie, a ona wciąż taka, jak wtedy, kiedy to płakała nad niemowlęciem przy piersi — a miała wtedy lat dwadzieścia.

Zdrowie i ducha pogoda — sądzisz? — nie!

Och! to wielka nasza tragedja! Alchemji życia przekleństwo!...

URBAN

Mistrzu, czy dobrze na pamięć przywoływać czarne chwile przeszłości?

JOACHIM

To nie chwile przeszłości, to nieustająca ciągłość... Jednak wszystko chciałem utopić w nauce, sam będąc obok — rozumiesz? — obok, na wierzchu... Udawało mi się to, póki tłumiłem potrzeby duszy. Dzisiaj nauka w innem zgoła świetle mi się zjawia; dzisiaj też dusza moja krzyczeć zaczyna, krzyczeć na cały głos — rozumiesz ty to?

(Stukanie do drzwi. Joachim idzie otworzyć; wchodzi Rajmund).

RAJMUND

Niech pochwalone będzie imię Pana Jezu Chrysta.

JOACHIM

Amen. — Bywaj braciszku Rajmundzie; późno dzisiaj przychodzicie.

Wybaczcie, mam tu — konferencję.

(uchyla drzwi boczne i woła)

Lucyljo! pójdź-no! przyszedł brat Rajmund.

(wchodzi Lucylja; Urban kłania się, Rajmund w rękę ją całuje).

LUCYLJA

(do Rajmunda)

Ach! jakże jestem rada! Myślałam, że już dzisiaj nie przyjdziecie, bracie Rajmundzie.

(do Joachima)

Panie małżonku —

(patrzy na męża dziwnym wzrokiem i nagle płaczem wybucha)

JOACHIM

(podchodząc do żony)

Lucyljo! spokojnie... spokojnie... biedne dziecko!...

(po chwili Lucylja zrywa się z głośnym śmiechem i wybiega).

JOACHIM

(do Rajmunda)

Zechciejcie, braciszku, pójść do mej żony; to minie; ja niebawem przyjdę.

(wyprowadza Rajmunda bocznemi drzwiami i wraca).

URBAN

Czy nie przeszkadzam?...

JOACHIM

(nie słuchając, głosem strapionym)

Tak, tak...
Biedna to kobieta...
Tak patrzeć muszę przez całe życie na ostateczne rozdarcie duszy...

URBAN

Mistrzu! jakże współczuję!

JOACHIM

Lekarze obłąkania probują się dopatrzeć... a to nic jeno rozdarcie duszy...
Łono z niej wydarli, serce, pamięć...

Może dla niej szczęście, że nic nie pamięta...
— a ja pamiętać muszę!...

(długie milczenie)

URBAN

Nie śmiem wdzierać się w tajemnice wasze, mistrzu... ale widzę: straszna krzywda spotkać was musiała?

JOACHIM

Zniweczono mi wszystko, co może się zwać szczęściem człowieka na ziemi.
Ja miłujący mąż — pozbawiony żony!
Ja miłujący ojciec — pozbawiony jedynego dziecięcia!

(płacze; po chwili otrząsa się)

Nic to — chwila słabości mnie opadła
— — — A jednak — skoro zawiodła mnie moja nauka, skoro poznałem się uczonym kochającym mą sztukę — a jej pozbawiony — — — ugiąłem się pod ciężarem ciosu człowieczego.
I teraz pragnę, ach jak pragnę! aby mi kto dopomógł dźwigać brzemię to...

(po chwili nagle)

Urbanie! chcesz mi dopomódz?

URBAN

O ile tylko zdołam...

JOACHIM

Masz tylko wiedzieć o mym bólu; chcę tylko podzielić się; chcę czuć, że ktoś bliski ze mną czuje... nic więcej... nic więcej...

URBAN

Mów, mistrzu, radbym ból twój przejąć na siebie... mów!...

JOACHIM

Posłuchaj...

(siada zgnębiony w fotelu; obok przysiada się Urban)

Widziałeś już nieraz Lucylję... te jej wybuchy... Ja patrzę na to co dnia — przez całe życie od chwili...

A znam źródło nieszczęścia! Och! jakże Lucylja szczęśliwa, że życie upływa jej jako sen głęboki! O! gdybym i ja mógł snem przeżyć życie!...

Ale nie! nie! ja mam jawą żyć; ja mam wypić gorycz do ostatka...

(chwila ciszy).

Posłuchaj: nie wiele miesięcy szczęścia minęło, a potem, w półtora roku po naszym ślubie czarna twarz zajrzała nam w oczy i dotąd krwawemi patrzy ślepiami.

Lucylja zamknęła swoje, Lucylja śpi... Ja muszę patrzeć w potwora—twarz w twarz, co dzień, co dzień przez długie życie.

— Było to wtedy, gdy Lucylja powiła mi dziecię, synaczka najmilejszego. Wtedy to szczęścia naszego osiągnęliśmy szczyt. Ale Bóg dobry zesłał na dziecinę chorobę, a matka nad kołyską dzień i noc we łzach tonęła, czekając już tylko śmierci swojego aniołka.

A potem przychodziły mnichy z srogiemi obliczami, karę bożą zapowiadając — a potem kazali przysięgać Bogu wszechmogącemu, że dziecię Jemu

ofiarujem, że dziecięcia dla Niego się wyrzekamy, skoro uzdrowione będzie.

Przysięgła znękana matka, przysiągłem i ja — — — I potem...

Ach! potem wydało się nam, że nas oszukał Bóg wszechmocny, że poto jeno zesłał na dziecinę chorobę, iżby podstępnie zdrowe dziecko nam odebrać. Upomnieli się dominikany o naszego syna i — zabrali... — — — Odtąd dziecka już nie widzieliśmy.

URBAN

Zabrali?!

JOACHIM

Zabrali...

(milczenie)

Tak straciłem syna... — Lucylja snać utraty dziecka przeboleć nie mogła.

Przysięgą i przemocą skrępowana, Bogu już się nie przeciwiła — a żyć nie mogła — więc przestała żyć.

Rozumiesz? — przestała żyć... Tak straciłem i żonę. — Ona żyjąc, nie żyje — i niczego sobie nie uświadamia; od lat z góry dwudziestu w śnie pogrążona.

(milczenie)

URBAN

Więc tak...
więc — tak...

JOACHIM

Oto alchemja życia...

(milczenie)

URBAN

I już żadnej nadziei niema!... żadnej nadziei odnalezienia syna?

(Joachim czyni gest zrezygnowany).

URBAN

A gdzież on przebywać może?

JOACHIM

Bóg jeden wie..,

Może już nie żyje, może mu na świecie dobrze, może źle, może jest znakomitym człowiekiem, może — może łotrem!... może!...

Ach! jakie to straszne, jakie straszne!...

Już mi tylko Lucylji strzec, iżby nie obudziła się a zoczyła oną twarz potworną patrzącą w nas ustawicznie. Już mi jej tylko strzec...

URBAN

Wybaczcie, mistrzu, jedno pytanie: czy ów mnich młody to spowiednik waszej żony?

JOACHIM

Tego to ja nie wiem.

Dobry chłopiec; złote; łagodne serce; żona moja pod jego wpływem jakoby uspokajała się.

Pewne w nim czuję zacieśnienie klasztorne, ale to dobry młodzieniec, człowiek dobrej woli i do nas lgnie bardzo.

Lubię gdy tu przychodzi... a i na mnie on kojąco oddziałuje... bo to działa dobrze, kiedy człek czuje, że ktoś jest dobry z wnętrza a nie szuka zewnętrznych przyczyn i celów.

Przez długi czas drażniła mnie jego mnisza szata; odżywały wszystkie wspomnienia, ale to rzeczy zewnętrzne, więc je pokonałem.

...Tak... tak...

(milczenie)

Oto więc wiesz smutną moją tajemnicę. Zrozumiesz teraz siłę mojej pracy i długoletnie opanowanie się.

Rozdwojeniu temu przecież teraz kres kładę albowiem w pochodzie ku Prawdzie pełnią życia postępować chcę i całą istotą moją niepodzielnie.

W pochód ten zabieram zdobytą wiedzę, jakoteż brzemię życia — i szukam ich uzgodnienia.

— — — Oto oddałem Bogu bodaj już wszystko...
oddałem syna
oddałem żonę,
oddałem krwawo zdobytą wiedzę...

Tak mniej więcej oddałem moje życie.

Aa! czy wszystko już oddałem?

Hii! toż jeszcze ostała mi moja osoba... i tę oddam, gdy trza będzie.

URBAN

(po chwili cicho, bezradnie)

A ja?... cóż ja?

JOACHIM

Ty — doświadczeniami mojemi prostuj własne życie... korzystaj z mojego, jak z mojej wiedzy korzystałeś dotąd.

Dlatego to na pożegnanie mówię ci to wszystko — o! najdroższy z uczniów moich!

(ściska Urbana; równocześnie słychać za drzwiami żywą rozmowę Lucylji i Rajmunda).

URBAN

Mistrzu! dzisiaj dopiero czuję się prawym uczniem twoim.

JOACHIM

Pozostań nim

(ściska go i całuje)

No — idź już, idź... Już więcej mówić — nie mogę...

(wyprowadza Urbana i staje w zadumie wsparty o ścianę)

RAJMUND

(za sceną)

Nie odpowie mistrz Joachim...

LUCYLJA

(za sceną — przekornie)

Zapytamy, zapytamy...

RAJMUND

(za sceną)

Mistrz Joachim wie bardzo wiele, ale tego wam nie wytłomaczy, pani.

LUCYLJA

(wchodząc)

Wytłomaczy, wytłomaczy...

(Rajmund wchodzi za Lucylją)

LUCYLJA

(*do Joachima*)

Panie małżonku mój, powiedz mi, czy ptak wędrowny wraca zawsze do swojego gniazda? czy nie zbłądzi nigdy?...

(*Joachim milczy; Lucylja doń podchodzi i przymila się*)

Nie wie mój małżonek pan, czy ptak wędrowny nie błądzi?... nie wie?... nie?... nie?...

RAJMUND

Nie trudźmy mistrza Joachima pytaniami temi.

(*Joachim w milczeniu ściska żonę, poczem zwraca się do Rajmunda*)

JOACHIM

Bądźcie, braciszku, dla niej dobry, jak zawsze.

(*zgnębiony wychodzi*)

RAJMUND

Każe mi mistrz Joachim być dobrym dla was, pani; a czyż ja umiem, czyż mogę, skoro czuję się jeno tym ptakiem, który to w czas zimy srogiej w cieplejsze słońce odlatuje na chwilę... na niedługą chwilę, iżby znów powrócił tam, gdzie zimno?

Czy taki zbłąkany ptak może być dobry — po drodze?

LUCYLJA

(*nagle*)

A ja lubię ptaki przelatujące...

RAJMUND

A jabym ptakiem chciał być, co to jednemu tylko promieniowi śpiewa chwałę bożą.

LUCYLJA

(*po chwili*)

Braciszku Rajmundzie, czy wy kochacie kogokolwiek na świecie?

RAJMUND

(*w zamyśleniu*)

Czy ja kocham?
czy ja kocham kogo na świecie?
A kogożbym kochać miał?
Ja kocham — bliźniego...

LUCYLJA

Wszystkich porówni kochacie?

RAJMUND

Ja nie mam nikogo, kogobym więcej kochać miał prawo.

LUCYLJA

A ojca, matkę?

RAJMUND

Ja nie znałem nigdy ojca i matki. Czczę ich cienie; ale ich nie znałem nigdy...

LUCYLJA

Braciszku Rajmundzie, a nie chcielibyście mieć

kogoś, kogobyście mieli prawo kochać więcej niż wszystkich bliźnich?

Nie chcielibyście przy sobie mieć matki?

RAJMUND

Oo! nie chcę sprzeciwić się woli Boga chceniem takiem.

LUCYLJA

(*nagle*)

Nie chcecie to i nie macie! i dobrze wam, dobrze, bo nie chcecie.

Ale ja, ja mam dziecię — takie małe, takie śliczne jako aniołek.

Synaczka mam, Janka! takiego ślicznego Janka!

Widzieliście moje dzieciątko, braciszku? widzieliście?

Nie widzieliście, ale mam, ale mam.

(*rozdrażnia się stopniowo*)

Mam, a wy nie wiecie; a pokazać wam mego aniołka nie mogę, bo mi go podają, gdy śpię; a ja go chcę mieć ciągle przy sobie, chcę go przytulać

(*rozdziera suknie na piersi*)

karmić go chcę i słyszeć jego kwilenia a uśmiechem jego radować się... pieścić, pieścić — aa — aa, aa — aa...

(*wybucha głośnem płaczem i rzuca się w fotel. Rajmund nad fotelem pochyla się i za rękę ją chwyta*)

RAJMUND

O! jakżebym pragnął ból twój wchłonąć, by twojej duszy drgnienia mojemi się stały!

O! nadmiar serca pali twoją duszę, gdy moja brakiem ciepła wystudzona.

O! gdyby Bóg dobry nadmiar twego bólu ulał w pierś moję i jedno czucie dał mnie i tobie!...

Możebym wtedy zdolny był człowieka uścisnąć goręcej nad uścisk bliźniego — i możebym matki zapomniane ciepło czuł — a ty syna uśmiech możebyś wargą łakomie piła
i możebym ożył i tybyś — ożyła...

(*wpija się ustami w dłoń śpiącej Lucylji*).

ZASŁONA

ZJAWA WTÓRA

Scena tażsama; nieład ogólny; skrzynie i toboły porozstawiane; częściowo już usunięte sprzęty i utensilia alchemiczne. Joachim snać codopiero przerwał pracę około zwijania całego laboratorjum. Teraz oto siedzi w fotelu pogrążony w czytaniu biblji, którą trzyma na kolanach.

Na kominie ogień dogorywa.

Urban krząta się jeszcze, dopełnia skrzynie, zwija różne drobne sprzęty, starając się zachować ciszę. iżby nie mącił spokoju czytającemu mistrzowi.

Joachim wreszcie głowę zadumaną podnosi, patrzy to na Urbana to na ogień w kominie; wreszcie zamyka biblję.

JOACHIM

Czas skończyć na dzisiaj; strudzony być musisz, Urbanie.

URBAN

Kończę już; resztę zostawiam do jutra.

JOACHIM

Ogień dzisiaj jeszcze zagasić chcę.

(*podnosi się i rozgląda*)

Sam jesteś, chłopcze... sam w chwili tej — inni już mnie odeszli?...

URBAN

Mówiłem im; nie przyszli.

(*przybliża się do Joachima*)

Mistrzu, oni nie przyjdą już, oni się boją.

JOACHIM

Boją? czego się boją uczniowie moi?

URBAN

Pono posłyszeli coś o jakowychś poszukiwaniach, które mają być dokonane u ciebie, mistrzu.

JOACHIM

Poszukiwaniach?

a kto poszukiwania czynić będzie? czegoby tu kto szukał?

URBAN

Mówią, że święta inkwizycja...

JOACHIM

Święta inkwizycja? — a czegoż?

Hm — może alchemja? a może złość czyja?...

Et! wiele opowiadania! Pozór, pozór! nic więcej. Nie raźno było uczniom moim pożegnać się ze mną.

A choćby!... Niech przyjdzie kto chce — może się czego nauczy.

— — — A wiesz ty, drogi Urbanie, że ja na każdej stronnicy biblji świętej znajduję potwierdzenie mojego nowego na rzecz spojrzenia?

Mówię ci: chcę natychmiast ogień zgasić na kuchni alchemicznej — natychmiast.

(*bierze Urbana za rękę i pod komin podprowadza, poczem żelazkiem porusza tlące się żużle*).

JOACHIM

(*z skupieniem*)

Bądź poniechany żywy sztuki mej ogniu, towarzyszu nieustanny wszystkiego dotąd mi życia.

Zciemnij swój blask zwodniczy a rumieniec zgaś ku zawstydzeniu memu.

Zniknij ogniu, iżbyś słońcu miejsca uczynił w duszy mojej.

(*zalewa ogień wodą*)

Pochwalone niech będzie światło w imię Ojca i w imię Pana Jezu Chrysta i Świętego Ducha — Amen.

URBAN

Amen.

JOACHIM

(*rozgląda się*)

Jakoby jaśniej nagle?...

(*Joachim odprowadza Urbana od komina i staje opodal*)

JOACHIM

Poniechajmy dawnej myśli. W życie nowe wnieśmy doświadczenia przeżytego treść; nic nad to.

Niechaj się dokona w nas Zmartwychwstanie.

(*po chwili*)

Ksiąg moich spisanych ni wszystkich manuskryptów nie niszczyć, iżby się prawda przyszłości ob-

jawiła w spisanych prawdach i w zmyleniach spisanych też.

Oto zgaszony ogień już... — oto Zmartychwstania mego dzień!

I już się tylko modlę potwierdzenia dnia tego wielkiego... O! niechbym już wahaniu nie poddał się ani jakowemu duszy zmyleniu!

(*do siebie w skupieniu*)

Dopomóż, wielki Boże!...

(*Nagle słychać szelest niesamowity, światło się przyciemnia; potem wśród wielkiej ciszy otwierają się szeroko drzwi wchodowe, w których zjawia się postać Lucylji w szarej, szerokiej, fałdzistej szacie, z włosem rozpuszczonym, niby Marji z Magdali zjawisko, wedle grobu Jezusa szukającej.*

Błędnym, pytającym wzrokiem wodzi Lucylja dookoła, wśród wielkiej ciszy podchodzi do komina, zagląda do wnętrza, poczem szuka znów wokół i zwraca się do Joachima tajemniczo).

LUCYLJA

„Wzięli Pana mojego, a nie wiem kędy go położyli“...

„Panie, jeśliś go ty wziął, powiedz mi gdzieś go położył, a ja go wezmę“.

(*nie otrzymawszy odpowiedzi, załamuje ręce i wybiega*)

Oo! oo!

(*światło znów się rozjaśnia. Zjawisko to widzi tylko Joachim; Urban zaś spostrzega jeno zachowanie się niezwykłe mistrza i bacznie weń patrzy*)

JOACHIM

(z przejęciem)

Kto mówił?...
    Kto o ciało Pana pytał?
        Niewiasto! stój!...

URBAN

Mistrzu! kogo przywołujesz?

JOACHIM

Słyszałeś?

(chwyta biblję, wertuje w niej, wreszcie czyta z przejęciem)

„I rzekli oni k'niej: niewiasto czemu płaczesz? Rzekła im: Iż wzięli Pana mojego a nie wiem kędy go położyli. To gdy rzekła, odwróciła się zasię i ujrzała Jezusa stojące"...

(Wchodzi Rajmund; Urban daje mu znak, iżby czytania nie przerywał. Rajmund niecierpliwy staje na uboczu. Joachim czyta niewyraźnie, poczem znów głos podnosi)

„I rzekł do niej Jezus: Niewiasto, czemu płaczesz; kogo szukasz? Ona mając za to, żeby ogrodnik był..."

RAJMUND

Mistrzu Joachimie! przerwać wam muszę pobożne czytanie; wybaczcie. Ważne przynoszę — ostrzeżenie.

URBAN

Więc już?!... na Boga!

JOACHIM

Braciszek Rajmund!...
Ostrzeżenie?

RAJMUND

Tak, mistrzu Joachimie...
(*zawaha się*)
za chwilę najdą was goście; dostojni goście.

JOACHIM

Jacy goście?

RAJMUND

(*przełamując się*)

Mistrzu Joachimie! niema czasu do stracenia! Magister generalis Ipolito Marja Becaria polecił naszemu prałatowi, aby niezwłocznie sąd roztoczył nad wami.

URBAN

Boże miłosierny! — więc jednak!

JOACHIM

A czegoż on odemnie pragnie?

RAJMUND

Dziś prałat tu będzie.

URBAN

(*do Joachima*)

Czego święta inkwizycja chce, gdy nachodzi dom wasz — pytacie?! Mistrzu, nie pytajcie! ratujcie się.

JOACHIM

Ja? ja? — cóżem uczynił?

RAJMUND

Nauczałeś.

JOACHIM

Tak — nauczałem...

RAJMUND

Mistrzu Joachimie, nic wam jeszcze nie grozi; skoro was przestrzeżono, wiecie jak się bronić.

Miecz świętej inkwizycji od dawna wisi nad wami; dotąd zdołałem was osłaniać; ale już możne wpływy sprzysięgły się przeciw wam; to i już nie poradzę. Od waszej obrony wszystko zależy.

JOACHIM

Bronić się? ja mam się bronić?

Coż mi kto uczynić może gdy prawdę rzeknę?... choćby sam magister generalis był — Ipolito Becaria w własnej osobie...

RAJMUND

Prawdę tłomaczą różnie; trzeba ją uzgodnić z obowiązującym prawem.

JOACHIM

Prawda jedna jest!

(*po chwili*)

Magister generalis Święta inkwizycja? Dochodzenia — sąd? Alboż to ja tajemnice czynił z mej nauki? alboż to od dzisiaj ja nauczam?

A czy omyłka w szukaniu prawdy zbrodnią jest? A jeślim się omylił, czy sprostowanie przy szczerem szukaniu a nowej prawdy zdobyciu nie jest łatwe, byle jeno prostować chcieć?

URBAN

Mistrzu, nam prawd tych nie tłomacz; nie czas na dysputacje; ratować się masz.

RAJMUND

Ratujcie się! — tu zdrada!

JOACHIM

Zdrada? — czyja zdrada?

RAJMUND

Twojego ucznia!

JOACHIM

(*dotknięty*)

Ucznia?!

RAJMUND

Zenobjusz...

URBAN

Zenobjusz!!

JOACHIM

(*po chwili*)

Cóż? — Zenobjusz...

RAJMUND

Mistrzu Joachimie! Uczeń wasz, jak dzisiaj dopiero stwierdziłem, od dłuższego już czasu donosy czyni przeciw wam.

URBAN

Judasz!

RAJMUND

W protokółach są jego zeznania i własnoręczne podpisy. Mówię to, bo dobrze wiedzieć wam dla obrony, z której strony ugodzić was chcą.

URBAN

To straszne! to potworne!

JOACHIM

Nie lękajcie się, chłopcy.

Zdrada taka i fałszywe oskarżenie — to nikczemność... istotnie... Niech Bóg mu przebaczy...

— Zenobjusz!

Nie lękajcie się mnie. Alboż to ja pierwszy lepszy przybłęda? Małoż to znają mnie? Małoż dysputacji miałem z najwyższymi dostojnikami. A i jego świątobliwość — Panie świeć nad jego duszą! — papież łaską mnie darzył osobliwą i nauki mojej lekce sobie nie ważył. Toż przyjął manuskrypt mój pergaminowy i szanował wielce wiedzę moją.

Alboż to ja przybłęda jaki? Cóż mi uczynią?!

URBAN

W błędzie jesteście, mistrzu. Żadna wielkość nie zasłoni człowieka przed wolą i mocą świętej inkwi-

zycji. Nie dałbym szyji za całość samego papieża. gdyby się naraził.

JOACHIM

Nic tu czynić nie mogę; nie lękam się, gdy prawą chęć i wolę noszę w sercu, ani się woli bożej przeciwiam.

RAJMUND

Mistrzu! bronić się macie prawo.

JOACHIM

Wolno mi z prawa korzystać lub nie... Ja się bronił nie będę.

RAJMUND

(*przypada doń*)

Zaklinam was, mistrzu! Toć ja człek marny, a jednak w sukni zakonnej, ja regule ostrej zobowiązany j a zwierzchności mej zobowiązany — przekroczyłem moje powinności. Mnie nie wolno w tej chwili tu być i was ostrzegać, mistrzu.

Do tego czasu przychylnie patrzono tam, jakom odwiedzał wasz dom a o wszystko dopytywano się; a ja tu przychodziłem ciągniony jakiemś ciepłem waszem, którego nigdy nie zaznałem i czułem, że moja skromna sukienka może wam być do czasu osłonieniem.

Dzisiaj wszelako tu mi być nie wolno, a jestem, bo — bo serce przełamać się nie dało. . ja musiałem was ostrzec, mistrzu!

Więcej uczynić nie mogę; teraz sami ratować się musicie a nieszczęście oddalić od domu swego.

Zechciejcie zrozumieć grozę położenia.

JOACHIM

(*całuje Rajmunda w czoło*)

Dobry jesteś... Bóg niech ci łaskę okaże. Pozwól mi jednak czynić, jak mi sumienie czynić nakazuje.

Nie to mnie boli, że przeciw mnie dochodzenia są...

Cóż?! zginęło tak wielu... czemużbym miał ja właśnie być oszczędzony. Nie dobrze dzieje się, że kościół Chrystusowy we krwi i ludzkiem udręczeniu ręce swoje bruka; ale przyjdzie czas wyrównania... Wszystko wyrównane być musi... to jest wieczne prawo wyrównania... — Nie to mnie boli, że dochodzenia są, i że może na mnie teraz krwawa przychodzi kolej, ale boli mnie — zdrada Zenobjusza.

(*do Rajmunda*)

A ty, braciszku Rajmundzie, raczej opuść wczas progi mego domu, skoro gościć mają za chwilę dostojników świętej inkwizycji...

(*do Urbana*)

I ty, drogi chłopcze, nie narażaj się dla mnie...

(*stukanie do drzwi; wchodzi Zenobjusz. Urban chce nań się rzucić z wymówkami; powstrzymuje go Joachim*)

JOACHIM

(*do Urbana*)

Milcz! ani słowa!

(*do Zenobjusza*)

Bywaj, drogi Zenobjuszu.
Sądziłem, żeś już zapomniał o mnie.

ZENOBJUSZ

(*kłaniając się z wyszukaną uniżonością*)

Mistrzu! jakżebym miał o was zapomnieć! Jak zawsze, tak i teraz czoło przed światłem waszej chylę nauki.

JOACHIM

W czas nieobecności twojej — patrzaj oto: alchemiae laboratorium zwinęliśmy, zgasiwszy wieczny na kominie ogień.

ZENOBJUSZ

Jak to? — już nie pracujecie? ani Klemens, ani Filip... a ty Urbanie?

URBAN

Dopomogłem mistrzowi zwinąć laboratorjum.

ZENOBJUSZ

Jaka szkoda! A czemu to? czemu? Przeć sława wasza, mistrzu Joachimie, z tej właśnie kuchni alchemicznej się wywodzi, że w podziw wprawia świat cały; że najwyżsi dostojnicy czczą wiedzę waszą i nawet bliżej z nauką waszą zapoznać się pragną — podobno...

URBAN

(*porywa się*)

Zdrr.!!...

(*Joachim powstrzymując Urbana — do Zenobjusza*)

JOACHIM

A jednak tak postanowiłem. Urban gniewny oto bardzo, to i szarpie się.

Ja tak ostatecznie uczynić postanowiłem.

Już też pożegnałem się z uczniami — ciebie nie było. Skorzystać więc chcę z łaskawości twojej na dzisiaj, drogi mój towarzyszu pracy...

Całowali mnie uczniowie na pożegnanie — już nie mistrzem zwąc mnie ani ojcem; bo odtąd bratem wam być chcę i przyjacielem.

Braterski pocałunek na znak złożyli na mej twarzy... braterski pocałunek.

— I ty nie odmówisz, Zenobjuszu!?

ZENOBJUSZ

(zakłopotany)

Ależ — mistrzu!?...

JOACHIM

(przybliżając się)

Pocałuj, synaczku, pocałuj... pocałuj..

(Zenobjusz zawahawszy się, składa pocałunek na policzku Joachima. Urban zasłania oczy).

URBAN

(nagle, przeraźliwie)

Judaszu!!

(wielka cisza. Słychac za drzwiami ruch i kroki; wchodzi Ksiądz Sekretarz)

KSIĄDZ SEKRETARZ

Jego wielebność prałat.

(Wchodzi Prałat w towarzystwie księdza Asystenta; za drzwiami widać przez chwilę Siepaczów; jednak Ksiądz Sekretarz drzwi zamyka. Zenobjusz ukłonami akcentuje wszelki brak styczności z przybyłymi. Prałat staje po-

środku izby, a zoczywszy Rajmunda, patrzy nań pytającym wzrokiem, poczem rozgląda się po obecnych)

PRAŁAT

Laudamus Jesum Christum
Dominum nostrum.

JOACHIM

In omnia secula — amen.

OBECNI

Amen.

JOACHIM

Dostojnego gościa w progach domu mego witam.

PRAŁAT

W imię prawa Jezu Chrysta dom nawiedzam uczony, iżby dubia powstałe z zawiłości waszej, mistrzu, nauki, rozproszyć a wiernych uświęcić wiarę i z ust waszych, nauce i kościołowi świętemu szczerze oddanych, potwierdzenie prawd wiary świętej usłyszeć i publicznie w świątyniach pańskich ogłosić.

JOACHIM

Zaszczyt mnie spotyka, jakkolwiek do wykładu sposobny nie jestem.
Przecież czem służyć mogę — służę.
Dostojny gościu, zechciej zająć miejsce.

PRAŁAT (*siadając*)

Joachimie Achimie, mistrzu sztuki i wiedzy! Jak-

kolwiek łaskę naszą wziąłeś w posiadanie, to jednak zwyczaju prawem zwierzchność świętego kościoła ucałowaniem relikwji kornie uznać winieneś, który to znak święty na palcu noszę

(*podnosi rękę ku Joachimowi do pocałowania, ten zasię wezwaniu zadość nie czyni*)

JOACHIM

Zbytnią ku waszej wielebności przejęty jestem atencją, iżbym śmiał dotknąć się tego pierścienia.

PRAŁAT

Necessitates ceremoniae nie sprowadziły mnie tutaj; przecież nie poddanie się przepisom obciąża cię, Joachimie Achimie, przed trybunałem świętej inkwizycji.

JOACHIM

W prawość sądu w imię święte Zbawiciela, chcę wierzyć; przeto groźby waszej nie pojmuję, ani skłonny jestem ukłonu mego powściągnąć na rzecz innego ceremonjału.

PRAŁAT

Zrozumiecie.

(*daje znak obu księżom, którzy też siadają, a postawiwszy na stole krzyż, rozwijają akta i pióra do pisania sposobią*)

PRAŁAT

(*po chwili*)

Z polecenia jego świątobliwości Magistri generalis i inkwizycji świętej procuratoris z bożej

łaski urząd dostojny sprawującego słowa rzeczone tu przez uczonego w alchemji, astronomji doktora i biegłego w piśmie, Joachima Achima, w protokole spisane będą do dalszego rzeczy rozpatrzenia.

Czy gotów jesteś, Joachimie Achimie, kościołowi świętemu posłusznie na zadane ci pytania odpowiedzieć?

JOACHIM

Gotów jestem, skoro tak potrzeba.

PRAŁAT

Zali jesteś alchemji mistrzem i sztuki tej przyuczasz młodzież miasta tego i kraju tego?

JOACHIM

Wszystkie nauki powierzyłem księgom; inne w manuskryptach spisane są. Kto wiedzy mojej ciekaw, niechaj czyta pilnie, gdy w piśmie uczony.

PRAŁAT

Hm — hm...

To i zaprzeczasz mistrzostwa swego w alchemji, Joachimie Achimie?

(*Joachim milczy*)

PRAŁAT

Wszelkie obwinionego milczenie według prawa potwierdzeniem do protokołu uznane być ma.

Joachimie Achimie! jesteś obwiniony.

JOACHIM

Trybunał z domu mego czynicie!?

PRAŁAT

Raz wtóry: Zali jesteś alchemji mistrzem, Joachimie Achimie?

(Joachim milczy)

PRAŁAT

(po chwili oczekiwania)

Do protokołu zapisać Joachima Achima odpowiedzi odmowę.

A teraz pragnę ujrzeć małżonkę waszą Joachimie Achimie.

JOACHIM

Nie można... chora jest.

PRAŁAT

(surowo)

Wszystko jedno!

JOACHIM

Wielebny prałacie! wszystek ciężar na mnie połóżcie, żona od lat dwudziestu chora jest.

PRAŁAT

Wszystko jedno!

RAJMUND

Wielebny prałacie, pokornie zaświadczyć ośmielam się, iż małżonka Joachima — chora jest.

PRAŁAT

Milczeć!

(Rajmund cofa się)

Przyprowadzić ją!

(*Ksiądz Asystent otwiera drzwi wchodowe, za którymi widać groźne twarze siepaczy; przywołuje dwóch*)

KSIĄDZ ASYSTENT

Za mną!

(*z dwoma siepaczami wchodzi do przyległej komnaty. Chwila milczenia; poczem słychać zlękniony głos Lucylji i ostre perswazje Księdza Asystenta*)

JOACHIM

Gwałt zadajesz mej żonie, Prałacie! — bezbronnej, chorej kobiecie.

(*Wprowadzają Lucylję; która rozgląda się zlękniona, ściskając przy piersi zmiętą chustkę; nagle twarz jej rozjaśnia się*)

LUCYLJA

Aa! myślałam, że to zbiry niedobre... Małżonku panie...

(*do Rajmunda*)

Braciszku!

(*do Urbana*)

Bywajcie, Urbanie!
Oo! jakże się zlękłam! Serce w piersi mi łopocze...

(*czule ściska chustę*)

Oo! by się nie zbudził mój maleńki — aa — aa...

(*rozgląda się po obecnych*)

A! tyle gości! tyle gości!

PRAŁAT

(*surowo*)

Do rzeczy!

(*Lucylja przerażona cofa się ku mężowi, który bierze ją w objęcia*)

JOACHIM

(*do żony*)

Nie bój się, biedactwo ty moje, nie bój się...

LUCYLJA

(*tuląc się do męża*)

Wezmą mi! wezmą...

JOACHIM

Nie wezmą, nie bój się, nie bój...

PRAŁAT

Zbyteczny lęk wasz, pani.

(*Lucylja przerażona patrzy na Prałata; wczas dalszych słów jego uspokaja się i słucha ciekawie*)

PRAŁAT

W imię prawa Jezu Chrysta wezwana jesteście Lucyljo, małżonko Joachima Achima, mistrza sztuki i wiedzy wszelakiej, iżby z ust waszych prawda zaświadczona była, a sposobem przez was rzeczonej prawdy by nauka małżonka waszego we wszystkiem potwierdziła kościoła świętego, ustanowionego przez Pana naszego Jezu Chrysta, prawdziwość.

(*Lucylja ciekawie patrzy po obecnych i zbliża się ku Prałatowi*)

Zaświadczyć tedy macie Lucyljo, małżonko mistrza Joachima...

LUCYLJA

(*przerywając*)

Gościu poczciwy...
powiedzcie mi, czy ptak wędrowny wraca zawsze do swojego gniazda?

(*ogólne osłupienie*)

czy nie zbłądzi nigdy?...

PRAŁAT

(*surowo*)

Do rzeczy!

LUCYLJA

(*śmielej*)

Nie wiecie? nie? nie?
Nikt mi na to odpowiedzieć nie umie?...

JOACHIM

(*przyciągając żonę*)

Lucyljo!

LUCYLJA

(*wyswobadzając się*)

O nie...
Ja chcę raz wiedzieć...
Oo! ja już wiem!
wiem!
Wróci! zawsze wróci do swojego gniazda!...

(*przyciska do piersi zwiniętą chustkę*)

O! moja ptaszyno! skrzydełka rozwijaj — i choćby zły człowiek z gniazdka cię wyrwał i poniosł — poniósł.., ty wrócisz, wrócisz... wiem, wiem...

(Nagle przerażonemi oczami pogląda w Prałata i wskazując nań palcem dobywa krzyk przeraźliwy) .

Aaa!!!

(Prałat zrywa się)

To on! on! znów przyszedł!

(przyciska do piersi zwiniętą chustkę)

Nie dam, nie dam — — —
nie — dam.,.....

(jęczy coraz ciszej, powtarzając ostatnie słowa; chroni się w objęcia męża, ten ją przygarnia)

PRAŁAT

(ostro)

Wyprowadzić ją;

(Joachim wyprowadza jęczącą zcicha Lucylję a uspokaja ją)

PRAŁAT

(siadając)

Dalsze przesłuchy trwają.

(Ksiądz Asystent przyprowadza Joachima)

JOACHIM

Wielebny Prałacie! na rany Zbawiciela! ciężar cały na mnie złóżcie! chorą ostawcie w spokoju!

PRAŁAT

Przesłuchy trwają!

Joachimie Achimie! prawdę wydobędę, choćbyście przyćmić ją próbowali; prawdy przysłanianie obciąża cię.

Pytam po raz trzeci:

Zali jesteś alchemji mistrzem, Joachimie Achimie?

JOACHIM

Już mistrzem alchemji nie jestem.

PRAŁAT

Zali sztuki tej przyuczasz młodzież miasta tego i kraju tego?

JOACHIM

Już nie.

PRAŁAT

Czujesz-li się winnym mistrzostwa w alchemji i nauczania sztuki tej pośród młodzieży miasta tego i kraju tego?

JOACHIM

Com w omyleniu nauczał, a zasię błędem osądził, tom już sprostował.

PRAŁAT

Poniechałeś sztuki tej szatańskiej?

JOACHIM

Poniechałem,

PRAŁAT

Od jakiego czasu?

JOACHIM

Od wczora.

(*Prałat pytająco patrzy po obecnych*)

PRAŁAT

Czy wyrzekasz się Joachimie Achimie wszystkiej nauki swojej, którą za łaską bożą teraz oto błędną mniemasz? publicznemu spaleniu ksiąg i manuskryptów twoich przed kościołem w obecności zgromadzenia wiernych według ceremonjału przepisanego — przytwierdzasz?

(*Joachim milczy*)

Z własnej a nieprzymuszonej woli przytwierdzasz?

JOACHIM

Przy—twier—dzam...

(*Prałat popatrzywszy bacznie w Joachima, wstaje uroczyście i głosem donośnym oznajmia*)

PRAŁAT

Jako że obwiniony, uczony w alchemji, astronomji doktor w piśmie biegły, nauki wszelakiej mistrz — Joachim Achim uprawianie sztuki alchemicznej z żalem przyznaje a nauczania tejże się nie wypiera, ale z skruchą omylność nauki swojej stwierdza i w imię Ojca i Syna i Ducha świętego

(*wszyscy prócz Joachima czynią znak krzyża*)

i Panny Najświętszej Boga Rodzicielki na zbawienie grzesznej duszy swojej uroczystą składa przysięgę, iże wyrzeka się po czas wszystek nauczania niezgodnego z prawem i wolą świętego kościoła powszechnego Pana Jezusowego — a sztukę swą jako szatańskie pokuszenie na zawsze od siebie odtrąca — od dalszych dochodzeń się odstępuje, świętej inkwizycji pod zarządem jego świątobliwości Magistri generalis, Ipolita Marji Becarii będącej,

dokumenty wszystkie do zatwierdzenia orzeczenia niniejszego pozostawując.

Trzema podpisami prawdziwość rzeczonego tu sygnowana i nazwaniem obwinionego zaświadczona i pieczęcią świętego Dominika

ku wiecznej trwałości, djabłu na odstraszenie jako skrypt po wszystkie czasy utwierdzona.

(*Ksiądz Sekretarz podaje Prałatowi do podpisu papier i pióro; poczem sam podpisawszy, pieczęć woskową uczynia i podaje Joachimowi do podpisu. Wszyscy patrzą weń z oczekiwaniem; on jednak stoji zrazu milczący, poczem nagle chwyta pióro i kładzie swój podpis.*

Prałat pogląda tryumfująco. W tem otwierają się drzwi wchodowe; w głębi widać szereg groźnych twarzy siepaczów; jeden z siepaczów będących na scenie drzwi cicho zamyka)

PRAŁAT

W imię prawa Jezu Chrysta w kościele świętym ustanowionego — dochodzenia przedwstępne świętej inkwizycji zgodnie z zleceniem Magistra generalis Ipolita Marji Becarii — za zamknięte oznajmiam.

(*szmer ukontentowania*)

JOACHIM

(*mocno*)

Dostojny Prałacie!...

(*nagła cisza*)

PRAŁAT

Jochimie Achimie, waszej mowy — jako że nawróconego w was witam syna kościoła świętego — posłuchać skłonny się oświadczam.

JOACHIM

Dostojny Prałacie i godni czci wszyscy obecni!
W imię Prawdy, której blask zoczyłem, na nową wkroczyłem drogę, zgasiwszy oto na zawsze ogień mej alchemji.

W imię tejże Prawdy, jako że to co się rzekło tu — acz prawdziwe jest, ale nie pełne, przeto dochodzenia przeciw mnie podjęte za zamknięte nie poczytuję — a zamknięte raz pieczętowane protokoły sam — przeciw waszej dostojnej woli — otwieram!

(*poruszenie; Joachim nagle chwyta papier z protokołem, drze go i ciska na ziemię*)

Co rzekłem — prawdą jest. A jednak prawdzie zadość się nie stało — a formie tylko.

PRAŁAT

Szalony! coś uczynił?!

JOACHIM

(*w zapamiętaniu*)

Nieee — nie szalony, nie szalony ja!...

(*rzuca się na kolana*)

Posłuchajcie! posłuchajcie!

(*zrywa się obłędnie*)

Wszyscy posłuchajcie!

(*otwiera drzwi boczne, potem wchodowe*)

(*do siepaczów za drzmiami*):

Pójdźcie! pójdźcie bliżej

(*wchodzą siepacze*)

A teraz słuchajcie:

Co rzekłem, wszystko prawdą jest, jeno tej mojej prawdy nie zrozumieliście. Nie! nie zrozumieliście!

To też całą, pełną prawdę wam oznajmić chcę.
Posłuchajcie — a zasię — sądźcie!
— — — — — — — — — — — — — — —
Gdy po raz pierwszy poczułem się człowiekiem,
wtedy stanąłem z bogiem oko w oko...
i oto krzyk!
i oto westchnienie — — —
— A on w oddalenie
schronił się i — znikł.
Wtedy to przeszedłem myślą wpółprzeciętą
ludzkości żywot; szedłem wiek za wiekiem,
mocując się z morzem i walcząc z opoką
i z słońcem i z tęczą rozpiętą
nad światem, niby przymierze ułudy...
A wszędy słyszałem — zgrzyt...
tam oto krew
tam sąd, tam gniew...
i ból poczułem i człowieczy — wstyd...
Od tej to chwili nie człowiek się modli,
jeno mój wstyd i upodlenie.
Więc słysz, ty wielka siło!
ty człowiecze omylenie!
ty chuć — ty żądza!
ty — mój ścierw!
Ty bóg — pieniądza..
Elejson! Elejson! — — —
Oo! gdybyś Bogiem był i Stwórcą,
— tedybyś milczał w majestacie;
a ty gadasz i szalejesz,
gryziesz żelaznemi zęby,
ogniem ziejesz,
pięścią straszysz światobórczą...
Ty! udana, wielka siło!
ty człowiecze omylenie!

ty chuć — ty żądza!
ty — mój ścierw!
Ty bóg — pieniądza...
Elejson! Elejson! — — —
Patrzaj oto ja człowiek
w palcach skruszam cię — boga!
i ani mię ima się lęk
ani trwoga
ani żal za boga rozbicie...
Słyszycie!?
Ani mię dreszcz nie przenika,
ni łza płynie z powiek,
ni się dobywa jęk — — —
— jeno szyd! jeno śmiech!
Ha! ha! ha! aaa!...
Elejson! Elejson!

PRAŁAT

Bluźnierstwo! — milcz!

JOACHIM

O! nie!!

Milczeć nie będę! milczałem nazbyt długo.

Teraz, gdy Bóg mi duszę otworzył, a swego ducha we mnie tchnął — teraz do ostatniego rzeknę słowa... do ostatniego!!... aż rozszalałego waszego boga uśmierzę...

Milczeć nie będę! — ostatniego słuchajcie słowa...

Bo wam wiedzieć trzeba.. wszystko wam wiedzieć trzeba... — I to wam trzeba wiedzieć, że jeno ten wasz bóg mojego łakomy był szczęścia, łakomy mojego dziecięcia i młodego życia mej żony.

To on! to on! — bóg ziemi — czart nieba!

On, który nie byłby bogiem, gdyby nie był przez was zrobiony,
który nie byłby mocny, gdybyście wy mocni nie byli,
który nie byłby święty, gdybyście go nie poświęcili...
To on!...
(wznosi ręce)
to nie Ty — o Boże!
który jesteś Duch —
— mój Pan!...
— Ty ostateczna Człowieka Harmonja,
Ty przed obliczem którego zjawionem
w człowieku pierzcha on
— bóg — żądza
i nastaje cisza raju...
Oo! Ciebie wołam tej chwili, daj moc słowa,
iżby w Ciebie uwierzyli
a ja — bym przy Tobie stał...
a ja — bym przy Tobie — stał...
Elejson — Elejson — — —
(chwieje się; nagle rozkrzyżowuje ramiona)
Mój Bóg!
(pada na twarz)

PRAŁAT
(zrywając się)

Związać go!!
(siepacze podnoszą Joachima, wiążą i wyprowadzają).

ZASŁONA

ZJAWA TRZECIA:

Cela więzienna; półmrok przerwany jeno wązką smugą światła padającego z okienka umieszczonego wysoko. Pod ścianą ława, nad nią wisząca na ścianie tablica z wyrokiem; pośrodku kamiennej podłogi płyta (kamienna) kryjąca otwór lochu, okuta w żelazne zawiasy, sztabę do której przytwierdzona ogromna kłódka.

W kącie na barłogu, o ścianę głową oparty, półsiedzi — półleży Joachim Achim w kajdanach. Zda się — śpi, czy w ciężkiej pogrążony zadumie.

Dłuższa cisza; wreszcie słychać dzwonienie kluczów i zgrzyt przekręcanego w zamku klucza; otwierają się skrzypiące drzwi okute w żelazo; wchodzi dozorca więzienny, przynosi dzban z wodą i miskę z chlebem; dzban stawia pod ławą.

Dozorca ostrożnie podchodzi do Joachima i trąca go w ramię. Joachim po chwili budzi się i rozgląda.

JOACHIM
(*półprzytomnie*)

Czy już?

(*patrzy długo na dozorcę*)

DOZORCA

Nie lękajcie się, panie... wody świeżej przyniosłem i chleba kęs.

(*stawia chleb na ławie*)

JOACHIM

Więc jeszcze nie...

DOZORCA

Nie, nie — jeno chleba przyniosłem i wody.

(*milczenie*)

Nie spożyjecie chleba?

(*milczenie*)

O! nieszczęście was spotkało, panie! wiem, wiem...

Wola boska!

JOACHIM

Więc to dzisiaj...

O! niechby raz męczyć mnie przestali!...

DOZORCA

Szczerze współczuję.

(*nagle szeptem*)

Panie! wy możecie się jeszcze uratować. Nic straconego; znam ja wyroki...

A tak... zastanówcie się! tam

(*wskazuje na płytę*)

do lochu ciemnego zamkną was i głód was zeźre i pragnienie... marna śmierć! Ale jeszcze czas! znam ja wyroki.

Tam zawsze napisane, że karę można zmienić, skoro winowajca odwoła, zaprzeczy a czarta się wyrzeknie.

Od was samych więc zależy panie! Niejeden już sposobem tym życie uratował.

Kościół święty pełen jest łaski i wyrozumienia — a wy, uczony, pierwszy do łaski stukać macie prawo.

Od waszej woli zależy, od waszej...

JOACHIM

Czy nie wiesz bracie, zali uwzględnił magister ostatnią moją prośbę?

DOZORCA

Ależ uwzględnił, napewno uwzględnił. To człowiek łagodnego serca i na nędzę ludzką czuły... Jakaż to ostatnia prośba wasza?

JOACHIM

Żądałem spowiednika.

DOZORCA

Aa! spowiednika... ta prośba zbyteczna. Spowiednik zawsze — z urzędu... z urzędu...

JOACHIM

Żądałem spowiednikiem brata Rajmunda.

DOZORCA

O nie. Rozporządzenie mówi wyraźnie, że wielkiego uczonego wyspowiadać ma sam prałat, jako że godzi się, iżby należny szacunek okazany był. Sam prałat spowiadać was będzie, zaszczytu tego wam nie odmawiając... sam prałat!

JOACHIM

Więc tak...
a ja żądałem spowiednikiem brata Rajmunda.

DOZORCA

Rozporządzeniu sprzeciwić się nie można.
A zresztą wszystko to jedno; Bóg przecie grzechów słucha i grzechy gładzi... obojętne który z kapłanów wyspowiada... tak to już mądrze ustanowił nasz kościół święty.

JOACHIM

(*przed siebie*)

Więc tak...
a ja żądałem spowiednikiem brata Rajmunda.

(*chwila ciszy*)

DOZORCA

(*nagle*)

Panie! mam do was wielką prośbę...

(*po chwili*)

Wielką prośbę... paniczku!

(*obejmuje kolana Joachima*)

nie odmówicie mi w godzinę śmierci.

Bóg wam wynagrodzi — tam... Przeć wam to już nic nie szkodzi, a mnie biedakowi dopomóc łatwo możecie.

Panie! pomódlcie się na moją intencję gdy już tam będziecie przed tronem Najwyższego... Pomódlcie się, a ja za waszą duszę modlić się będę.

Powiedzcie Panu Bogu najwyższemu, albo lepiej wprzódy świętemu Bonawenturze, patronowi mojemu, że dziewięcioro mam dzieci i żonę kalekę... wyżywić mi trudno, choć sam sobie od gęby co lepsze odsuwam. — Paniczku... nadarza mi się lepsza posada, a jušci nadarza... Wyproście mi ją, paniczku dobry, u świętego Bonawentury! Nie przepomnicie? Wam to nijaki ambaras, a mnie — mój Boże! — a mnie!...

(*nagle*)

Idą już!

(*Za drzwiami słychać ruch. Dozorca spiesznie przestawia dzban i misę z chlebem i wybiega. Drzwi nie zdążyły się zamknąć, gdy ukazują się w nich Ksiądz Asystent i Ksiądz*

Sekretarz, stają naprzeciw siebie po obu stronach drzwi którymi wchodzi Prałat, odziany według przepisu jako spowiednik. Joachim tymczasem wciąż stoi oparty o ścianę, pogrążony jakby w modlitwie).

PRAŁAT

Benedicamus Domini.

DWAJ KSIĘŻA

Amen.

PRAŁAT

(*do księży*)

Ostawcie nas samych.

(*wychodzą*) — (*do Joachima*)

Do świętej spowiedzi gotów-że jesteś, Joachimie Achimie?

(*Joachim tylko oczy nań zwraca*)

PRAŁAT

Pierwszego warunku spełnienie przed oblicznością Pana, Boga naszego...

JOACHIM

Odejdź!... Odejdź!...

PRAŁAT

Lękaj się, duszo zatwardziała, sądu Najwyższego.

JOACHIM

Odejdź!...

PRAŁAT

(*nieco łagodniej*)

Spowiadać się nie chcesz?

(*chodzi nerwowo po celi, potem przystając*)

Joachimie Achimie, nie chciej widzieć we mnie człowieka tylko...

Przed Panem wyznaj grzechy żywota swego. On ci je odpuści...

O odpuszczenie grzechów twoich modlić się będę.

JOACHIM

Odejdź!...

PRAŁAT

Nie mogę... Obowiązek mój ostać przy tobie w tej chwili... tu będę aż do — końca...

(*milczenie*)

Joachimie Achimie! widzę: spowiedzi odmawiasz. Ja kapłan obowiązek mój święty spełniam — strzeż przeto obowiązku twojego na dzień — dzisiejszy... dzień, w którym zamyka się cały żywot twój...

Sam rozstrzygaj! Bacz, iżbyś po śmierci nie wlókł za sobą klątwy świętego kościoła.

Rozważ w sumieniu swojem!

(*chwila ciszy*)

Zanim odpowiesz — posłuchaj... Ja tu nie tylko jako kapłan przyszedłem — ale... ale także jako — człowiek...

(*cisza. Prałat nagle wyciąga rękę do Joachima*)

Przebaczcie mi!!...

(*dłuższa cisza*)

JOACHIM

A ja — jako człowiek — żądam — spowiednikiem — brata — Rajmunda.

PRAŁAT

(*cofa się*)

To niemożliwe!
Jakże? — Nie! nie!
To być nie może!

JOACHIM

(*prostując się*)

Wielebny prałacie! Skoro śmierć moja potrzebna jest świętemu kościołowi, chcę umrzeć według kościoła przykazu.

Jeśli kościół ten zabrał mi już wszystko co zabrać mógł — mężowi żonę — ojcu dziecię — uczonemu naukę, a dziś oto zabiera — człowiekowi życie — — — niechże mi jedną wyświadczy łaskę, jedną, jedną łaskę w dzień śmierci!

Ja wiele nie żądam od was, a jednak wiele dla mej duszy...

Prałacie! chcę raz w życiu spowiadać się szczerze!

Z pełną ufnością — ja człowiek chcę raz w życiu rozmawiać z Bogiem przez człowieka — nic więcej, nic więcej...

I tego mi przyznać nie możesz, prałacie?

PRAŁAT

O! gdybyś wiedział co mi nie zezwala zadość uczynić prośbie twojej — nie prosiłbyś... Sambyś się przeraził tej prośby.

(*Prałat chwyta się za głowę*)

PRAŁAT

(*po chwili*)

Na Boga! nie mów tak! nie mów tak!

(*chodzi nerwowo po celi*)

Och! to być nie może, to nie spowiedź! nie spowiedź! to być nie powinno!

Syn! — syn! — — — nie! nie! nie!...

(*Prałat zląkłszy się swych ostatnich słów, milknie*)

JOACHIM

Cooo??!!

(*długa cisza; Joachim chwieje się i pada twarzą na barłog w kącie celi i szlocha*)

PRAŁAT

(*przystępując po chwili*)

Joachimie...

(*Joachim zrywa się, chwieje, strasznym wzrokiem mierząc Prałata, nagle chwyta go za pierś i szarpie nim gwałtownie*)

Aaa!!! Więc tak! więc tak! To ty! — poznaję!! — aaa!!!

(*gwałtownie odpycha Prałata od siebie*)

Więc to — ty! poznaję!! — a tamten... mój — syn!!!

(*zatacza się i pada na twarz*)

(*Prałat stoi długo oszołomiony, wreszcie ostrożnie podnosi Joachima*)

PRAŁAT

Oo! gdybym mógł! gdybym mógł... O! tyle lat... ja, tak! to ja...

(*w milczeniu stają naprzeciw siebie*)

JOACHIM

(*twardo*)

Przyprowadź mi — brata — Rajmunda!

(*długo patrzą sobie w oczy*)

Przyprowadź — mi — brata — Rajmunda...

PRAŁAT

Joachimie Achimie —
przebaczcie mi!!

JOACHIM

(*podaje prawicę*)

Prze — ba — czam.

(*przez chwilę stoją tak w milczeniu; nagle Prałat spiesznie wychodzi; Joachim zasłoniwszy twarz rękoma stoi długo w milczeniu*)

JOACHIM

Mój syn!
Lucyljo! nasze dziecię,
Jan! nasz Jan!
Boże sprawiedliwy!
oto dzień szczęścia!
pierwszy mego szczęścia dzień!
(Joachim słyszy kroki za drzwiami; nasłuchuje; cofa się, znów postępuje)
To on! on...
Idzie on, moje życie
— a tu — śmierć...

(*nagle*)

Nie! nie! on tego wiedzieć nie może! on tego wiedzieć nie powinien! on — w kapłańskiej sukience... on tego wiedzieć nie powinien...

(*nasłuchuje*)

Idzie! — idzie!
To on!
— synaczek mój najmilszy! to on!

(*otworzono drzwi; Joachim cofa się pod ścianę w oczekiwaniu*)

(*Wchodzi Rajmund, przystaje, podbiega, rzuca się w objęcia Joachima, który z wruszenia ledwie trzyma się na nogach; trwają długo w objęciach; poczem Joachim z gwałtownemi ruchy ogląda Rajmunda na wsze strony, ściska go i całuje, radując się i płacząc. Rajmund oszołomiony, jednak wita w Joachimie tylko dawnego przyjaciela, mistrza alchemji*).

JOACHIM

Syneczku! widzę cię, widzę... Janku! Janeczku... tyżeś to?! ty!...

RAJMUND

Joachimie! przyjacielu! co wy mówicie? co mówicie?

JOACHIM

Raduję się, że cię widzę, że Bóg mi pozwolił uścisnąć, przytulić do ojcowego serca, które przecież już zamarło, aż oto znów żywo bić zaczęło... znów, znów...
tak! raz jeszcze, raz jeszcze, zanim ciemność mnie pożre... raduję się...

(*zasłania nagle oczy*)

— Raj—mun—dzie... — — — aa — — — aa!

(*cisza*)

RAJMUND

Czy sądziliście, że już nie przyjdę do was?

JOACHIM

Wiedziałem, że przyjdziesz, ale... ale nie wiedziełem, że to ty! — — — że—to—ty — — —

RAJMUND

(po chwili)

Wzywaliście mnie, mistrzu Joachimie, przyjacielu; żądaliście spowiedzi świętej...

JOACHIM

(po chwili)

Tak — — — tak...

(rzuca się na ławę; Rajmund przysiada)

RAJMUND

W imię Ojca i Syna i Ducha...

JOACHIM

(po chwili)

Oo! — — — a jakże! — — — oto w obliczu Boga staję obarczon brzemienien życia mego...

W obliczu Boga nigdy nie zapomnianego — — — w obliczu zawsze szukanego Boga.

Aa — — — myśl mi się mąci — — — szczęście — — — lęk — — — aa!

(nagle przytula się do Rajmunda)

Janku! — — — tak się boję,
tak się boję...

(nagle)

Nie! nie boję się, ale mówiono mi raz o takim złym człowieku, który za zbrodnie skazany był na zatracenie
— — — skazano go na śmierć.
Nie godny był umrzeć śmiercią, którąby mu gwałt zadała, jak Chrystus...
nie godny był.

RAJMUND

Przez śmierć godnymi stać się możemy Pana Jezusa.

JOACHIM

A ja zawsze myślałem, że przez — życie?... czy błądziłem?...
— — — A więc niegodna moja krew przelania dla odkupienia duszy — — —
niegodna mówisz?
— przeto i ja umrzeć mam bez krwi rozlewu — — —
(*nagle*)
Patrzaj, synu!
(*pokazuje kamienną płytę*)
patrzaj! tam oto ciemno, tam ciemno — —
— tam ja dokonam życia dla zbawienia duszy.
(*przytula się do Rajmunda*).
Oo! jak się boję! jak się boję!
(*wśród ciszy słychać uderzenia dzwonu, potem kilku dzwonów*)

JOACHIM

To na mój skon...
(*milczenie; Joachim nagle zrywa się*)
Więc — już... już...

Niema czasu. Spieszno mi; bardzo mi spieszno.
Słuchaj! słuchaj i ponieś za mnie modlitwę do Nieba. Ja teraz modlić się nie mogę; ja poczuję się godnym modlitwy — tam

(*wskazuje na płytę*)

tam w lochu, w straszliwej ciemnicy... Gdy głód pożerać będzie me ciało, gdy pragnienie wypalać będzie krew w żyłach, dusza ma modlić się będzie — — — tam w lochu — — — aa — — —

Oo! straszna musi być wina mojego żywota — — — a czy ja wiem?

Za wiele wiedziałem, więc teraz nic nie wiem...

Możeby stało się inaczej, gdyby życie moje zniosło krwawy ślad trzech sępów, którzy zlecieli się wykraść moje pisklę...

Obsiedli kołyskę i krakali, krakali, krakali — — aż ponieśli.

Możeby życie moje potoczyło się było inaczej...

Moja wina, wielka winą moja! Boże! ja Ciebie nad miarę sił moich ukochałem, nad miarę sił...

moja wina, wielka wina moja! Ja nie mogłem Cię widzieć Bogiem — siepaczem, nie mogłem Cię czuć mścicielem...

moja wina, wielka wina moja!

O Tobie, Boże, ja się dowiem dopiero tam, w lochu, gdzie już ni światła, ni ciepła, ni pokarmu, ni wspomnienia... jeno fakt w takt, takt w takt — puls sumienia — sumienia...

A jednak: tam Bóg nie mściwy — — — Bóg dobry, miłosierny, Bóg-Człowiek.

RAJMUND

Ufaj!

(*wzmożone bicie dzwonów*)

O! ja już żyję tam; już w lochu; ufność — to rzecz ziemi, a ja już nie na ziemi, nie na ziemi... mnie już nie trzeba ufać — ja już wiem.

— — — Tak, ja tutaj siebie już nie czuję; tutaj nic nie wiem, a tam — wiem...

I tylko jedno jeszcze we mnie pozostało z ziemi, tylko jedno...

i tu moja wina, wielka wina moja.

Tak! jeszcze raz posłyszeć chciałbym o moim dziecięciu, które mi zabrali — — — raz jeszcze słyszeć chciałbym opowiadanie o moim Janku tam w kołysce, przy ciepłej piersi matczynej... tylko raz...

Słuchaj, synaczku... opowiedz mi: czy ci nic nie mówiono? czy wiesz co było, zanim posiadłeś rozpoznanie? czy ty wiesz co z tobą było?

RAJMUND

Czemu mnie o to pytacie, Joachimie?

JOACHIM

Bo — bo ja muszę wiedzieć.

RAJMUND

Teraz? w godzinę śmierci?

JOACHIM

Tak! muszę wiedzieć, aby wypełniło się we mnie wszystko, co tu po mnie pozostać ma.

Nie odmawiaj w tej ostatniej chwili...

— Ja spowiedź moją skończyłem. — — Amen.

(Rajmund czyni znak krzyża nad Joachimem i szepce modlitwę)

JOACHIM

(*po chwili*)

Żądałem ciebie spowiednikiem; teraz twojej nawzajem chcę spowiedzi.

Słysz! dzwony mi już biją skon. Mów! niech słowa twoje po mnie życia mego będą zatwierdzeniem.

RAJMUND

(*z płaczem tuli twarz w dłoniach Joachima*)

Joachimie! ja nie miałem nikogo w życiu, i jeno do ciebie lgnąłem jak do ojca...

Ja nie wiem, nie wiem nic co było — — — uczono mnie, że wiedzieć nie mam, jeno w Boga wierzyć — to i nie wiem nic.

Wiem tylko, że w waszym dopiero domu poczułem się — człowiekiem. To też kiedy wymawiałeś wtedy te okropne słowa prawdy, wtedy, gdy cię uwięziono by sądzić, by zgładzić...
— ja jakobym grom, sto gromów, całą burzę nieba poczuł w piersi — ja wtedy ducha twojego uczułem w sobie. — — — A ja nie wiedziałem nic, i nie wiem nic...

A obok ciebie czułem i kochałem — ach tak! kochałem Lucylję, żonę twoję; i nie wiedziałem: czy wolno kochać mi Lucylję — — — i dzisiaj nie wiem.

Nie wiem — a kocham... Oto jest grzech mój, Joachimie, przyjacielu mój.

Oto jest grzech mój, że kocham i nic nie wiem...

JOACHIM

(*wybucha*)

Synaczku!

(za murami słychać gwar tłumów i wzmożone bicie dzwonów)

Synaczku! kochaj Lucylję!

(rzucają się sobie w objęcia)

(otwierają się drzwi; wielkie bicie dzwonów, gwar uliczny; wchodzi kat)

KAT

Czas!

(obydwaj zrywają się)

RAJMUND

Wielki Boże!

(czyni znak krzyża nad Joachimem)

JOACHIM

(do Rajmunda)

Powiedz...

powiedz Lucylji, że ptak wędrowny... że zawsze wróci... że wróci — zawsze...

Bóg niech cię prowadzi — kochaj Lucylję...

Janie! — to matka twoja.

(Rajmund zasłoniwszy ręką oczy, podaje Joachimowi krzyż do pocałowania i czyni nad nim znak krzyża.

Równocześnie wchodzi orszak inkwizycji, przedstawiciele władzy kościelnej i świeckiej; pochodnie, krwawo oświetlają celę. Kat podnosi kamienną płytę i wsuwa do lochu drabinę. Joachim podnosi głowę i patrzy twardo przed się. Wchodzi świta, a potem M a g i s t e r g e n e r a l i s Hipolit Becaria w bogatym stroju kościelnym; nad nim baldachim.

Z księgi czyta przepisane modlitwy. Kat i dwóch siepaczów imają Joachima i stawiają nad lochem. Jeden

z siepaczów ściąga z ściany tablicę z wyrokiem i podaje jednemu z księży, ten zaś trzyma ją przed Becarią, który czyta; równocześnie milkną dzwony; nastaje wielka cisza).

BECARIA

W imię prawa Jezu Chrysta Pana naszego i na rozkaz powszechnego kościoła świętego, zgodnie z postanowieniem trybunału najwyższego świętej inkwizycji ku zwalczaniu wrogów wiary świętej dla kacerstw i bluźnierstw tępienia a pomnożenia chwały bożej na ziemi

— my przez zwierzchność w kościele świętym prawnie ustanowioną i słusznie dla sądzenia powołani

stanowimy:

Joachim Achim, mistrz nauki, przez kościół święty potępiony, grzesznik zatwardziały i przeciw Bogu bluźnierca sprośny za przewiny żywota swego nieomylnie stwierdzone — ukarany ma być śmiercią.

Pomni wszelako wielkiego miłosierdzia Boga naszego w Trójcy świętej jedynego — jako że chcemy pójść śladem Pana naszego Jezu Chrysta, za wolą Świętego Ducha — do świeckiej władzy prośbę taką zanosimy:

osądzonemu stać się ma miłosierdzie nasze i śmierć jego ma być bezkrwawa.

Wszelako, że „pia mater Ecclesia" rąk we krwi ludzkiej maczać się wzdraga, przeto grzesznika i bluźniercę władzy świeckiej dla ścisłego zasądzenia wydaje się.

Życzenie Kościoła świętego z postanowieniem świeckiej władzy uzgodniono, że prawu i sprawiedliwości chrześcijańskiej zadość się stało.

Ceremonja zaś dokona się w dniu św. Ambro-

żego, anno Dei 1599 w murach zakonnych braci św. Dominika a wszem przy ceremonjale onym obecnym, kościoła świętego wiernym wyznawcom trzy razy po trzysta dni odpustu ku zbawieniu dusz nadaje się. Amen.

(po chwili).

Zgodnie z zwyczajem w kościele świętym uświęconym, niniejszem skazańcowi przy świadkach wiadomem się czyni, i że odwołaniem bluźnierstwa, pokutą i wyrzeczeniem się czarta i spraw jego skazany łaskę naszą na się ściągnąć jest mocny; przeto zapytyję cię Joachimie Achimie, zali wyrzekasz się słów rzeczonych i odwołujesz naukę swą i ją potępiasz a czarta się wyrzekasz?

(milczenie)

(Po chwili oczekiwania Becaria przystępuje do Joachima)

Wyrok zatwierdza się.

(zawiesza tablicę z wyrokiem na szyji Joachima przytem szepce)

„Quod in religionem divinam committitur, in omnium fertur iniuriam".

Becaria intonuje po łacinie pieśń, którą dalej śpiewa głośno chór księży i mnichów; równocześnie uderzają dzwony.

(Kat wskazuje Joachimowi loch. Joachim zstępuje po drabinie wolno — szczebel po szczeblu, patrząc w dal z mocą a grozą; wreszcie znika w podziemiu. Po chwili kat wyciąga drabinę i przy pomocy siepaczów zawiera loch kamienną płytą, zasuwa żelaza i przekręca klucz w kłódce.

Becaria święci kropidłem.

BECARIA

In nomine Patris

et Filii
et Spiritui sancti
Amen.

OBECNI
(*chórem*)

Amen.

(*Rajmund nagle z szeregu wypada i rozkrzyżowawszy szeroko ramiona woła rozpacznie*)

RAJMUND

Ojciec!

(*pada twarzą na kamienną płytę*).

(*Śpiew księży, bicie dzwonów; Becaria poświęca loch kropidłem. Powoli wszyscy, czyniąc znaki krzyża wychodzą za Becarią; niebawem drzwi głucho się zatrzaskują, słychać klucza przekręcenie; ciche bicie dzwonów; oddalający się pogwar uliczny; światło zciemniało, jeno smuga jasna z wysokiego okienka pada na leżącego krzyżem Rajmunda.*

Zjawia się postać Lucylji, w szerokiej szacie i rozpuszczonym włosem, niby Marja z Magdali zbłąkana wedle grobu Jezusa.

Lucylja błędnie szuka obchodząc jak cień celę dookoła)

LUCYLJA

„Wzięli Pana mojego a nie wiem kędy go położyli...“

„Panie jeśliś go ty wziął, powiedz mi gdzieś go położył, a ja go wezmę...

Oo — — — oo...

(*postać Lucylji znika; ciemność zupełna*)

(*milkną dzwony*).

ZASŁONA

OKŁADKĘ I EXLIBRIS WYKONAŁ JERZY HULEWICZ.
DRUK UKOŃCZONO DNIA PIETNASTEGO MAJA TYSIĄC
DZIEWIEĆSET DWUDZIESTEGO DRUGIEGO ROKU.
CZCIONKAMI DRUKARNI FR. FOLTINA W WADOWICACH.
SKŁADAŁ: EDWARD KOŁODZIEJ.
ODBIJAŁ: JÓZEF PETRYKIEWICZ.